

ROZDZIAŁ X

Ponyville

Następnego ranka obozy stojących naprzeciw siebie wojsk ożyły. Po obu stronach ładowano zaopatrzenie na wozy, składano namioty i pośpiesznie jedzono śniadanie. Pierwsi do drogi przygotowali się Wołosi, ruszając w kierunku oddziałów Celestii. Na ich spotkanie wyszedł batalion ciężkozbrojnych, ten sam, który wczoraj uganiał się za Kozakami. Kuce postawiły pierwszy krok, który miał dać początek szarży.

– Stać! – krzyknął Shining Armor, wyskakując znienacka. – Przepuścić ich! Teraz to nasi sojusznicy.

Zebrane wokół kuce popatrzyły na swojego dowódcę, nie wiadomo, czy bardziej zaskoczone powrotem swojego wodza z niewoli, czy też treścią komendy, jednak posłuchały rozkazu. Po chwili oddział jeźdźców podjechał do ich pozycji.

– Proszę waszmości, wojsko Rzeczypospolitej i sojuszników za piętnaście minut będzie gotowe do drogi. Jak u was? – spytał Zientarski.

– Nam zajmie to trochę dłużej, ale niewiele. Jak dzielimy się dowodzeniem?

– O, to proste. Ty będziesz przewodzić swoim, ale nie masz doświadczenia w naszym sposobie walki. Tym się zajmę ja.

– Doskonale. Ile czasu potrzebuje grupa specjalna do przygotowania czaru?

– Ot, chwilę tylko. Zaczną czarować, kiedy tylko zaczniemy bitwę.

– Więc lepiej się pośpieszmy – powiedział Shining Armor, wskazując na Canterlot. Doskonale widoczny zazwyczaj zarys miasta był teraz otoczony przez niezliczone roje changelingów i całe armie wrogich kuców.

– Na pewno sobie poradzisz? – spytała Bon Bon, wsadzając do podróżnej sakwy woreczek cukierków.

– Bez obaw, będą tam przecież księżniczka Luna i nasze przyjaciółki... i ludzie! – Akwamarynowa klacz aż pisała z radości.

– Nadal mam wątpliwości.

– Nie martw się, będzie dobrze. – Lyra objęła kuca ziemnego kopytem. – Zrobię, co mam zrobić, i wrócę, obiecuję.

– Zostań, proszę. – Łzy pociekły Bon Bon po policzkach.

– Nie mogę. Muszę iść... dla Equestrii – odparła klacz, wskakując na przejeżdżający obok wóz. Szybko przeszła na przód, by zasypać woźnicę tysiącami pytań. Powożący zaprzęgiem Wąsacz obrócił się, pokręcił głową z dezaprobatą, ale nic nie powiedział.

W tym samym czasie w kuchni biblioteki również i Spike pakował zapasy do toreb. W pokoju obok do podróży przygotowywała się szóstka klaczy, dyskutując nad możliwymi problemami, które mogły napotkać. Pukanie do drzwi przerwało rozmowę. Twilight wstała z miejsca i poszła otworzyć. Na zewnątrz stał stary, siwiejący człowiek, z twarzą poznaczoną licznymi bliznami. Jedną ręką chwycił się za pas, niebezpiecznie blisko szabli, w drugiej natomiast trzymał konia za uzdę. Za jego plecami stał niewielki wóz, na którym siedziała już Lyra, rozmawiająca z szarą klaczą pegaza. Palący obok niej fajkę woźnica nie wyglądał na zadowolonego z powodu towarzystwa, w jakim się znalazł. Kilka kuców przyglądało się ludziom z mieszaniną strachu i ciekawości.

– Witam waćpannę! – powiedział mężczyzna, kłaniając się przy tym. – Jestem Włodzimierz Dzikowski, herbu Półuch z pętelką, dowódca

dzikowczyków... to jest chorągwi wolentarskiej. Mości ksiązę kazał się zbierać do drogi – skończył, po czym wsiadł na konia.

– Już, już, wychodzimy – rzekła Twilight, zakładając sakwę. Po chwili ona i jej przyjaciółki zaczęły wychodzić z budynku. Jako ostatnia wyszła Fluttershy, jak zwykle niewiarygodnie cicha. Wnet ożywiła się, kiedy zobaczyła wierzchowca Dzikowskiego.

– Łysek! – krzyknęła, tuląc się do konia. Ten zarżał radośnie.

– Znacie się? – oficer nie krył zdumienia.

– Tak, spotkaliśmy się wczoraj w nocy.

Dzikowski patrzył przez chwilę, jak żółty pegaz pieści wierzchowca. Na jego pełnej blizn twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

– Jak waćpanna chce, to może waćpanna na nim pojechać, miejsce się znajdzie – zaoferował się szlachcic, po czym ostrożnie chwycił Fluttershy i umieścił ją w siodle, przed sobą. Upewnił się, że reszta drużyny jest już na wozie, po czym ruszył w kierunku swoich towarzyszy, odprowadzany wzrokiem przez mieszkańców Ponyville.

Canterlot

Celestia powoli i z trudem podniosła powieki. Zamrugła kilka razy, chcąc przyzwyczaić oczy do panujących w pomieszczeniu ciemności. Spróbowała się poruszyć, wnet jednak odkryła, że utrudniają jej to łańcuchy, które ktoś założył na jej nogi, skrzydła i szyję. Również jej róg był zabezpieczony przed próbą użycia magii. Przy okazji zauważyła, że zniknęły jej regalia. Po chwili usłyszała czyjś śmiech.

– Wyjdź z cienia, siostrze. Wiem, że gdzieś tu jesteś – powiedziała.

– Luny tu nie ma – usłyszała znajomy głos. Ktoś zapalił magią swój róg, niczym pochodnię, oświetlając trójkę kuców. Celestia natychmiast rozpoznała dwójkę porywaczy.

– Blueblood! Golden Tongue! – stwierdziła księżniczka.

– Moja pani, znalazłam zamachowca. A nie, to ja! – odezwała się zdrajczyni.

– Macie mnie natychmiast wypuścić! – Alicorn spróbował wyrwać się z pułapki.

– I co jeszcze? Może kawy przynieść? Albo ciasto upiec?

– Cały ten spisek...

– Tak, wiem, jestem genialny. Kto by pomyślał, że tak łatwo kupisz bajeczkę o Nightmare Moon!

– Co zrobiłeś mojej siostrze, zdrajco!

– Och, nic. Jak ostatni raz ją widziałem, to leżała sobie pod siatką antymagiczną, gdzieś pod Ponyspire, nikomu przy tym nie wadząc. Szkoda, że ci ludzie jej pomogli, ale co tam. Potem się z nią policzę. Aha, będę musiał również zrobić coś ze Sparkle, ta wiadomość była zakodowana prymitywnie, choć pomysłowo. Dobrze, że nie chciało ci się jej czytać od razu.

– Wasza książęca mość! – krzyknął jakiś gwardzista, wchodząc do pomieszczenia. Krótki gest Blueblooda wystarczył, by cała jaskinia rozświetliła się, ujawniając krąg magiczny, kilka skrzyń, stół z leżącymi na nim regaliaми księżniczki i piedestały, na których spoczywały Elementy Harmonii. – Książę Bluebloodzie, nasza królowa się niecierpliwi.

– Powiedz swojej władczyni, że jej dar już się obudził.

Gwardzista uklonił się i wyszedł. Po chwili przez drzwi przeszła wysoka

klacz, pokryta ciemnozieloną chityną. Jej nogi i zakrzywiony róg były pełne dziur. Przy bokach widać było złożone, owadzie skrzydła. Oczy świeciły upiornym, zielonym blaskiem.

– Wasza wysokość! – zaczął Blueblood. – Oto moja część umowy! Dar, który rozwiąże twój problem żywnościowy.

Chrysalis spojrzała beznamiętnie na Celestię.

– Ona? Czyś ty zgłupiał, śmiertelniku? Jak niby mam na niej żerować?

– Och, to proste. Celestia jest istnym zbiornikiem miłości. Miłość siostrzana, miłość do ojczyzny, matczyzna miłość względem uczennicy... Wystarczy drobne zaklęcie, w czasie którego użyjemy mocy Elementów, i będziesz mogła się pożywiać przez całą wieczność!

– Wciąż będę musiała ją zwodzić, a głupia nie jest. Jak niby mam uzyskać dostęp do jej potencjału?

– O tym też pomyślałem. Pathchanger? – Czarny jednorożec wyjął coś ze skrzynki. Były to dwie strzykawki, jedna z niebieskim, druga z zielonym płynem. Niebieską, oznaczoną jako antidotum, położył na stole, po czym zbliżył się powoli do Celestii. Księżniczka zaczęła się szarpać, ale wystarczyło krótkie użycie magii przez jednorożca, by kajdany poruszyły się nieco, unieruchamiając ją całkiem. Pathchanger z łatwością wstrzyknął alicornowi zawartość strzykawki.

Z początku nic się nie działo, jednak po chwili dało się zauważyć pewne zmiany. Oczy uwięzionej klaczy zaszklily się, zaś jej źrenice powiększyły się do nienaturalnych rozmiarów.

– Minęło tysiąc lat, od kiedy ostatnio cię widziałam. Chyba już czas zapomnieć o różnicach. Miałyśmy panować razem, droga siostro. Czy przyjmiesz moją przyjaźń? – spytała nagle Celestia, spoglądając gdzieś przed siebie. Chrysalis spojrzała na Blueblooda.

– Co to za sztuczka?

– Refren – powiedział książę. – Bardzo silny i bardzo rzadki narkotyk. Przywołuje najszcześniejsze chwile w życiu osoby, która go zażyje. A z jakim uczuciem wiążą się najpiękniejsze wspomnienia Celestii? Odrutka jest na wypadek, gdyby ktoś z nas się nieszczęśliwie skaleczył. Czyż to nie jest genialne? Wystarczy tylko krótki rytuał... krótka ewolucja...i będziesz mogła się pożywić!

– Nie taka znów krótka – ostudził jego zapał Pathchanger. – Potrwa kilka godzin, a w tym czasie królowa utraci wiele energii. Na czas ceremonii będzie potrzebowała innego źródła mocy, niż umiłowanie poddanych i tak dalej. Musi mieć skąd czerpać prawdziwą miłość. Wiecie, ogier, klaczka, te sprawy...

– I o tym pomyślałem – uspokoił go Blueblood. – Widzicie, moja droga Golden potrafi świetnie czytać między wierszami. Można tam znaleźć wiele przydatnych rzeczy. Złotko?

– Oczywiście, kochany – zaczęła klacz. – Długie poszukiwania, prowadzone przeze mnie w bibliotekach całego świata, nie przynosiły owoców. Do czasu. W zapomnianej sali pałacu gryfich królów znajduje się księgozbiór, który mieści w sobie... nie wiem, czy uwierzycie... książkę. A w niej można dotrzeć do krótkiej wzmianki, wypowiedzianej aluzjami i niedopowiedzeniami, o pewnym ciekawym fakcie. Pathchanger, zwiększ dawkę Refrenu.

Jednorożec wykonał polecenie. Po chwili na twarzy Celestii pojawiła się mieszanka zdziwienia i radości. Stała przez moment w milczeniu, aż wreszcie zapłakała.

– Ty... Oczywiście, że przyjmuję twoje przeprosiny. Teraz możemy być razem. Ostatecznie nie ma harmonii... bez odrobiny chaosu – powiedziała, uśmiechając się przez łzy.

– To. Jest. GENIALNE! – Chrysalis krzyknęła z rozkoszy, czując nagły przypływ mocy. – Ona jedna może zapewnić mi dość energii, by przetrwać wieczność! Tak, zasłużyliście na moją wdzięczność. Ty! – Wskazała kopytem na Pathchangersa. – Zaczynaj ceremonię!

Pola wokół Canterlot

Armia Luny zatrzymała się na szczycie wzgórza. Miejsce idealnie nadawało się na pole bitwy. Pod nimi ciągnęła się równina, na której stanął wielki obóz przeciwnika – zarówno changelingów, diamentowych psów i zbuntowanych arystokratów, jak i żołnierzy Kuczej Armii Czerwonej. Najwyraźniej wrogie armie zawarły ze sobą tymczasowe porozumienie, bardziej obawiając się nadchodzących lojalistów, niż siebie nawzajem, chociaż przymierze to mogło być też efektem machinacji Blueblooda. Za obozem wznosił się masyw górski, na którym jakiś szalony architekt postanowił zbudować miasto. Pogoda była taka sobie. Niespokojne czasy nie sprzyjały patrolom pogodowym, więc nie miał kto przeganiać chmur deszczowych, unoszących się wysoko nad głowami zebranych.

Oddziały zajęły pozycje. Na prawej flance ustawiły się świeże siły Gwardyjskiej Grupy Armii, na lewej stanęły wojska Rzeczypospolitej, zaś pomiędzy nimi okopywały się kuce – weterani spod Vinepolis i Stalliongradu.

Na jednym ze wzniesień stanął sztab książęcy, nad którym łopotały sztandary: pierwszy z dwoma alicornami oraz wiszący obok, z Orłem Białym i Pogonią Litewską z jednej strony i Jastrzębcem z drugiej. Tam też zabrali się wszyscy oficerowie, chcąc po raz ostatni naradzić się przed bitwą.

– Jaki mamy plan? – spytał ktoś.

– Po pierwsze, kupić grupie specjalnej trochę czasu. Po drugie, spróbować przebić się do miasta – odparł Shining Armor. – Czyli innymi słowy, walimy w nich wszystkim, co mamy.

– Lubię ten plan. Prosty i nieskomplikowany, bez zbędnych forteli i kombinowania jak łysy pod górkę – ironizował Zemborzycki.

– Świetnie. Na co czekamy?

W związku z przybyciem nowych wojsk, armie spiskowców zajęły pozycje bojowe, oczekując na ruch przeciwnika. W końcu się doczekali. Najpierw odezwały się działa, zaś kuce wystrzeliły z katapult, zasypując wroga gradem kamieni oraz ołowiu. Następnie na lewym skrzydle zagrały trąbki. Rota husarska majestatycznie, acz powoli ruszyła w dół zbocza, korzystając z asysty rajtarów i pancernych. Na drugim skraju pola bitwy analogiczny manewr wykonały ciężkozbrojne bataliony Gwardii. Do ataku ruszyły pierwsze szeregi pegazów, z pełną prędkością lecąc na wrogich lotników.

Wrogi dowódca postanowił najpierw rozprawić się z wojskami lądowymi. Naprzód wysunęli się włócznicy, wysuwając do przodu drzewce swoich broni. Pozwoliło to w pewnym stopniu zahamować impet natarcia kuców, ale na ludzi, uzbrojonych w blisko sześciometrowe kopie, to nie wystarczyło. Z hukiem i łoskotem husarze wbili się w szeregi piechoty, tratując i tnąc szablami. Za nimi do wyłomu wkraczały kolejne chorągwie kawalerii, pogłębiając panujący tam chaos.

Jednak wrogi dowódca nie był głupi. Szybko posłał tam kolejne formacje w celu okrążenia jeźdźców. Rezerwowe oddziały changelingów, do tej pory patrolujące Canterlot, przesunęły się bliżej pola walki. Wówczas ponownie zagrały trąbki, wzywając lojalistycznych żołnierzy do wycofania się. W pościg za uciekającymi rzuciła się cała niemal wroga armia, tratując po drodze tych rannych, którzy nie mieli siły wstać.

Na ten moment czekała księżniczka.

– Kucze syny ruszyły! – krzyknął Broniewski, zjeżdżając ze wzgórza.

– Doskonale. Zaczynamy, dziewczęta – powiedziała Luna, przekierowując magię do rogu, aktywując tym samym zaklęcie. To samo uczyniła Twilight. Rarity i Lyra, jako mniej obeznane z magią, miały tylko dzielić się z nimi swoją mocą magiczną.

Powoli, stopniowo w powietrzu zaczął pojawiać się okrągły kształt. Z każdą chwilą rósł, stając się coraz bardziej materialny. W końcu portal ustabilizował się, przechodząc jednocześnie z pozycji horyzontalnej w pionową, błyskając przy tym co chwila.

– Łał! To było niezłe – powiedziała Lyra, sapiąc przy tym z wysiłku.

– Dobra, a teraz szybko, na drugą stronę! Broniewski, idziesz czy zostajesz?

– A jak myślisz? – spytał ksiądz, poprawiając szablę. – Ruszam z wami na wypadek, gdyby to była brama do piekła.

– To przełaź. – Rzędowiecki wskoczył w portal, upewniając się, że kuce i jego gwardziści podążają za nim.

Sekundę później znalazł się w olbrzymiej sali tronowej, pełnej wysokich witraży. Podszedł kilka metrów po czerwonym dywanie. Obrócił się, by zobaczyć, jak jego towarzysze rozglądają się, zaciekawieni.

– Gdzie teraz? – spytał.

– Sądzę, że jakąś wskazówkę możemy znaleźć w komnatach Blueblooda – odparła Luna.

– Świetnie. Prowadź.

Cała grupa ruszyła pośpiesznie w kierunku drzwi.

Sytuację, jaka powstała na polu bitwy w wyniku wycofania się jazdy, Giedajłowowie określiliby jako ch&ową, ale stabilną. Co prawda wrogie oddziały wciąż atakowały, ale impet natarcia został zmniejszony przez konieczność wspinania się w górę. Problemy atakujących wykorzystali piechurzy

Rzędowieckiego, witając wroga salwą z muszkietów. Zachwiało to szeregami przeciwnika na tyle, by Dawidowski odważył się na przeprowadzenie krótkiego kontrataku.

Inaczej przedstawiała się walka w centrum i na prawym skrzydle, gdzie oddziały lojalistów starły się z najemnikami i powstańcami. Będący na podobnym poziomie techniki wojskowej, żołnierze Equestrii toczyli rozpaczliwą walkę wręcz z zastępami kuców, gryfów i diamentowych psów. W ruch poszły miecze, włócznie i kopyta. Stopniowo nieprzyjaciół zdobywał przewagę, okupując jednak każdy zdobyty metr dziesiątkami poległych.

Tymczasem w powietrzu Dark Sword zorientował się, że jego pani porwała się z motyką na słońce. Świadczyły o tym dwa fakty. Po pierwsze, nieprzeliczone roje changelingów w przestworzach, przez które tylko czasem dało się dostrzec drugi problem, jakim były nieprzebrane szeregi przeciwników na ziemi. Kapitan Gwardii Nocy otrząsnął się z zamyślenia, unikając przy tym ciosu wrogiego lansjera, którego natychmiast skosił mieczem.

– Garłacze, ognia! – krzyknął Iwan Antonowicz Giedajłow do swoich podwładnych. Całą pierwszą linię Zaporozców okrył biały dym, zza którego dałoby się dosłyszeć jęki rannych, gdyby nie zagłuszały ich okrzyki bojowe kolejnych żołnierzy.

– Takiego czegoś to jeszcze nie widziałem – stwierdził Władimir.

– No, prawie, jak za Sahajdacznego pod...

– Zamknijcie się, *bratia atamany*, to poważna sprawa jest! – krzyknął Borys, nabijając na szablę diamentowego psa.

– No i niby co zrobimy?

– Nie wiem, myślałem, że któryś z was ruszy głową.

– *Bratia atamany*, mam pomysła! – krzyknął nagle Władimir, kierując się w stronę wozu, na którym Zemborzycki trzymał beczki z zapasami.

– Ej, będziem pić albo po zwycięstwie, albo u świętego Pietra! – krzyknął za nim jego bliźniak.

– Nie chcę teraz chlać, durniu! Pomóż mi, trzeba to przygotować!

Kolejne bataliony powstańców i sfory diamentowych psów kierowały się w stronę broniących się zaciekle taborów, kiedy Kozacy ustawili na zboczach kilka beczek. Kiedy atakujący zbliżyli się za nadto, beczki zostały oblane smołą, podpalone i posłane w dół, ku szeregom wrogiej piechoty. Przeciwnik musiał uciekać przed lawiną drewna i płomieni, roztrącając i tratując własnych towarzyszy. To nagłe zachwianie się wrogich formacji wykorzystali Kozacy, z radością rzucając się na wroga.

– Brawo, mołojcy! Na pohybel kuczysynom! Na plasterki! – krzyczeli Zaporozcy.

– Wy idioci! Moja wódka! – Do Giedajłowów podbiegł Zemborzycki, złorzeczając i potrząsając groźnie szablą.

– To gorzała jest? Mój Boże, myślałem, że to smoła! – krzyknął Władimir.

– A ty myślałeś, że czemu wcześniej wspominałem o chlaniu? – odparł Iwan.

– Nie gadaj tyle, tylko podawaj tego więcej. Im szybciej skończymy, tym więcej gorzały będziem mieć do podziału – uspokoił brata Borys. – A ty, Zemborzycki, przywieź więcej materiału, albo idź zdobywać sztandary wroga w bohaterskim szturmie! – dodał, nabijając pośpiesznie pistolet.

Sytuacja na lewej flance była opanowana, ale prawa, pozbawiona siły ognia artylerii, zaczynała się chwiać. Krok po kroku linie kuców cofały się w kierunku sztabu.

Zientarski obserwował przebieg bitwy ze wzgórza. Widząc problemy, jakie mieli gwardziści Shining Armora, postanowił działać. Podrapał się po głowie, myśląc nad czymś przez chwilę. W końcu krzyknął.

– Dzikowski, skocz no tutaj!

Po chwili u jego boku pojawił się stary szlachcic, wycierający swoją szablę z krwi.

– Czego dusza potrzebuje?

– *Primo*, tu nie ma żadnych dusz, sami bezbożnicy. *Secundo*, trzeba pomóc naszym sojusznikom. Skocz waść i zaatakuj z prawej. Weź Terczyńskiego i moich Wołochów do pomocy.

– A Dawidowski?

– Ten kiep sam sobie znajdzie zajęcie.

Rota husarii wykorzystała fakt, że wróg był zajęty walką z piechotą, i wymieniała właśnie połamane kopie na nowe. Nagle coś przykuło czyjąś uwagę.

– Panie namiestniku, kuce nas okrążają!

Dawidowski popatrzył we wskazanym kierunku. Faktycznie, dołem powoli szło kilka oddziałów powstańców, wspieranych przez lecącą tuż przy ziemi gryfią dragonię najemną. Namiestnik nie namyślał się długo.

– Panowie bracia, my się im nie damy! Nasi dziadowie bili Turka, Tatara, Krzyżaka! Nasi ojcowie potrafili atakować Szweda i Moskala nawet, gdy tamtych

było dziesięć razy więcej! Czy więc my się cofniemy? Czy pozwolimy, by wróg zdeptał nasz honor? Odpowiem: nie! Teraz nadeszła nasza kolej, by pokazać, co znaczy sarmacka duma! Będziemy walczyć, aż zawali się świat, a aniołowie zagrają na sąd ostateczny! Komu Bóg, komu sława miła! Za mną!

– Hurra!

Husaria ruszyła na wroga. Atak ten, chociaż niezbyt przemyślany, zrobił na kucach wrażenie. Nie czekając na uderzenie, pierwsze szeregi piechoty, przerażone widokiem skrzydlatych jeźdźców, rzuciły się do ucieczki, nabijając się przy tym na włócznie własnych kolegów. Kiedy więc między nich wpadli kawalerzyści, tylko nieliczni mieli się czym bronić. Atak przerodził się w rzeź kucyków.

Widząc to, dowódca gryfów zaśmiał się.

– Patrzcie, ktoś tu się nieźle bije. Przekonajmy się, czy umieją walczyć tak dobrze, jak my. Co wy na to? – powiedział, po czym ruszył do przodu.

W międzyczasie ludzie zdążyli już się cofnąć i przygotować kolejną szarżę. Wszystkie kopie, które jeszcze niedawno leżały na wozach, były połamane. Kawalerzyści chcieli sięgnąć po koncerze, ale Dawidowski dostrzegł atakujące tuż przy ziemi gryfy, nieobawiające się skrzydlatych jeźdźców, drwiące przy tym z odwagi rycerzy. Krew w nim zawrzała, a w uszach usłyszał szepty swoich przodków spod Grunwaldu.

– Ołać koncerze! Do szabel i za mną! – krzyknął, rzucając się w kierunku wroga, nie patrząc nawet na swoich towarzyszy.

Oba oddziały szybko zmniejszyły odległość między sobą. Nikt już nie pilnował szyku, więc obie formacje wymieszały się ze sobą, zmieniając bitwę w szereg śmiertelnych pojedynków. Okazało się, że kondotierzy dorównują Polakom w umiejętnościach szermierczych. Co chwilę jakiś gryf lub człowiek padał na ziemię. Mimo, obie strony reprezentowały podobny poziom wyszkolenia, to przewagę mieli najemnicy, gdyż na jednego husarza przypadało dwóch lub nawet trzech przeciwników.

W samym środku pola bitwy trwał pojedynek dowódców. Co i rusz jeden z nich zdobywał przewagę, tylko po to, by stracić ją po chwili. Każdy cios, jaki wyprowadził jeden, kończył się ripostą drugiego i kontratakiem, po którym cała historia się powtarzała. Miecz bez przerwy spotykał się z szablą, krzesząc iskry. Zarówno człowiek, jak i gryf dyszeli z wysiłku. W końcu jednak Dawidowski znalazł lukę w obronie przeciwnika. Natychmiast wykonał precyzyjnie wymierzone pchnięcie szablą, które dosięgło twarzy wrogiego dowódcy. Ten krzyknął, przykładając łapę do zakrwawionej głowy. Dawidowski szybko ciął na odlew, definitywnie kończąc żywot gryfa.

Widząc klęskę swojego wodza, najemnicy zaczęli pierzchać, odlatując ku swojej ojczyźnie. Sztandar oddziału upadł, przykrywając ciało dowódcy. Jak się potem okazało, był nim jeden z synów króla gryfów, który dołączył do kondotierów w poszukiwaniu wojennej sławy. Equestria nieraz jeszcze miała mieć przez to kłopoty, jednak teraz liczyło się tylko odniesione zwycięstwo.

Husarze nie skończyli jeszcze wiwatować na cześć swojego dowódcy, kiedy Dzikowski doprowadził swoich podwładnych na dogodną pozycję do przeprowadzenia szarży. Szlachcic popatrzył przez chwilę na tłumy wrogów, kłębiące się w całej dolinie.

– Jestem już na to troszku za stary – powiedział do siebie. Jego doświadczony wzrok dostrzegł niewielką lukę w linii atakujących, kiedy grupa changelingów wzniosła się w przestworza, by wspomóc tam swoich braci. Dzikowski postanowił wykorzystać okazję.

– Terczyński, jesteś waszmość ze mną?

– Zawsze i wszędzie.

– No, Łysek, jedziem! – rzekł do konia, kierując się ze swoją chorągwią ku przeciwnikowi.

Wnet dopadli szeregów nieprzyjaciela, roztrącając go, strzelając z pistoletów i tnąc, kogo się dało. Widząc to, lojalne wobec Celestii kuce zdwoiły wysiłki, powoli, acz skutecznie odzyskując utracone wcześniej pozycje. W samą porę, jeźdźcy bowiem nie mogli dłużej utrzymać wroga w ryzach. Szybko odskoczyli, by z dala od zgiełku nabić ponownie pistolety i przygotować się do następnego uderzenia.

Na samym początku bitwy, nim jeszcze grupa specjalna przeszła przez portal, a husaria dopiero miała odskoczyć od wroga, namiestnik Poszewski zrobił o jeden krok za dużo. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby zaraz po tym zawrócił, ale za pierwszym krokiem poszedł następny, po nim kolejny, aż w końcu Poszewski ze zdziwieniem odkrył, że jego rota znalazła się w zagajniku, zaraz za liniami przeciwnika.

– Hehe, pora na wojnę szarpaną – zamruczał do siebie. Rozejrzał się po okolicy, próbując znaleźć jakiś cel. Jego wzrok zatrzymał się na baterii katapult, szykujących się do zasypania rojalistów płonącymi kamieniami. Chwilę później orientował się, że maszyny są wycelowane w rotę husarii, wymieniającą właśnie kopie. Poszewski szybko podjął decyzję.

– Mości panowie, ostatnio Dawidowski uratował nas, teraz my uratujemy jego. Rozwalimy te katapulty, po czym odskoczmy. Za mną! Rysią!

Kilkuset jeźdźców na rozkaz wypadło spomiędzy drzew. Natychmiast rozpoczęli ostrzał z pistoletów i łuków, masakrując zaskoczonych artylerzystów. Szybko dopadli do przeciwnika, zabijając tych, co przeżyli ostrzał. Kilku żołnierzy pośpiesznie przecięło liny, które pozwalały wystrzelić z katapult, wcześniej upewniając się, że pociski spadną na głowy powstańców. Następnie jeźdźcy podpalili maszyny. Upewniwszy się, że zagrożenie chwilowo zostało zażegnane, Poszewski wycofał się, uciekając przed pościgiem w kierunku husarii, która właśnie wymieszała się z oddziałem gryfów.

Artyleria powstańców okazała się jednak zbyt liczna, by odczuć dotkliwie utratę jednej baterii. Wrogi dowódca uznał, że bombardowanie całego frontu, chociaż wprowadzi pewne zamieszanie, przyniesie mniejsze efekty, niż skoncentrowany ostrzał jednej pozycji. Zebrał więc swoją artylerię, by zasypać gładziami jeden, konkretny punkt.

Pociski spadały na niewielkim obszarze, bronionym zaciekle przez batalion kuców. Żołnierze przebiegali pośpiesznie między kamieniami, szukając kryjówek. Jediną zaletą zaistniałej sytuacji było chwilowe wstrzymanie naporu nieprzyjacielskich wojsk.

– Umrzemy tutaj! – ukryty za jednym z skałców jednorożec zaczął panikować. – Musimy uciekać!

Nagły cios kopytem przerwał jego krzyki. Pobity spojrzał w górę, by zobaczyć stojącego nad nim dowódcę.

– My się nie cofniemy! – krzyknął do niego kapitan Poniris. – Przysięgaliśmy bronić Equestrii. Przysięgaliśmy utrzymać się tutaj do końca. Dlatego będziemy tu stać, choćby wróg miał przewagę stu do jednego! Zrobimy im tutaj krwawą łaźnię!

– Tak jest... krwawą łaźnię... – powtarzał za nim jednorożec, wstając powoli. W samą porę, wtedy bowiem ostrzał ustał, a do ataku rzuciły się kolejne bataliony zdrajców.

– Utrzymać pozycje! – Poniris zaczął szybko ustawiać swoich podwładnych w falangę. – Za Equestrię!

Walki trwały w najlepsze i nic nie zapowiadało ich rychłego końca. Sojusznicze armie dzielnie stawiały opór falującemu morzu żołnierzy przeciwnika. Sprawne oko dostrzegłoby jednak, że wojacy Luny powoli upadają na ciele i duchu.

W końcu stało się coś, czego obawiali się oficerowie sprzymierzonych, i flaga Equestrii, stojąca dotąd pośrodku linii gwardzistów, upadła, znikając pod rojami changelingów. Przez chwilę wydawało się, że jest już po bitwie, wnet jednak z odsieczą ruszył batalion Armedhoofa, tego samego, który poddał się pod Little Greenhorn. Z okrzykiem na ustach setki kuców rzuciły się, by zatkać wyłom we własnych szeregach, zmuszając przeciwników do cofnięcia się. Dzięki temu chorągiew Królestwa mogła znowu załopotać na wietrze.

Zdenerwowane nagłym powrotem znienawidzonego symbolu, do ataku ruszyły dywizje Armii Czerwonej. Znowu linie lojalistów zachwiały się, jednak tym razem nikt się nie cofnął. Już po chwili wśród obrońców pojawił się Shining Armor ze swoimi podwładnymi, tnąc mieczem i spalając przeciwników za pomocą magii.

– Kop szybciej! – głos Fryterskiego, chociaż zniekształcony, rozległ się w panującym w tunelu półmroku, przebijając się przez dźwięki pracujących saperów i dobiegające z powierzchni odgłosy walki. – Łychą też tak szuflujesz? Nie, bo wtedy byś jadł tak długo, że między jednym twoim kęsem a drugim można by obiad spokojnie zjeść!

– Ależ panie dowódco kochany, ten tunel już i tak jest dość długi. Chcesz waszmość do miasta się dokopać, albo do Kitajców?

– Siedź cicho i kop. Nie chodzi mi teraz o długość, bo jest w sam raz, ale o to, by tu masę beczek prochu upchać.

– Tak jak tutaj? – spytał jakiś kuc ziemny, również pracujący łopatą.

– O, idealnie. Jak rozumiem, szybkie tempo kopania to również twoja zasługa?

– Owszem, to mój specjalny talent. – Kuc wskazał na swój Znaczek, przedstawiający łopatę.

– I takich kopaczy mi trzeba! Jakbym miał trzech takich jak ty, to bym całą Warszawę w dwa dni przekopał. Zasłużyłeś na premię. A teraz ładować wybuchające wspaniałości, musimy zrobić większe pierdolnięcie niż Strezing i ta jego mała wiwatówka, zwana, nie wiedzieć czemu, kolubryną! I migiem, bo jeszcze jakieś kucze syny gotowe pobić naszych aliantów, a nie chcę, by potem pisano wiersze o Fryterskim, co wysadził swoją redutę!

Ciągłe gadanie dowódcy saperów podziało. Niecałe pół godziny później całą okolicą wstrząsnął wybuch, większy nawet od tego, jaki wywołano w czasie oblężenia Vinopolis. Fryterski pomylił się nieco przy obliczeniach, w wyniku czego dziura była większa, niż planował. Tym niemniej spełniła swoje zadanie, spowalniając natarcie.

Nieco dalej Strezing zaklął szpetnie.

– Durny piroman się znalazł, tfu... co tak stoicie, imbecyle! Ładować moją małą dziewczynkę, chcę wystrzelić coś specjalnego – krzyknął w kierunku swoich podwładnych, czyszczących właśnie jedną z armat. Ci zdwoili wysiłki, dzięki czemu skrócili czas przeładowania działa o kilka cennych minut. Przed zakończeniem całej operacji dowódca artylerii wsadził do lufy woreczek z tajemniczą zawartością, uśmiechając się przy tym złowieszczo. Po chwili działo wystrzeliło. Kula armatnia płonęła żywym ogniem. Kiedy wreszcie uderzyła w ziemię, wybuchła znacznie mocniej, niż zazwyczaj, podpalając przy tym najbliższą okolicę. Żołnierze, którzy mieli szczęście, zginęli na miejscu od odłamków lub płomieni, jednak kilku nieszczęśników wciąż biegało, próbując ugasić swoje palące się ciała. Tym samym zmuszali swoich towarzyszy do cofnięcia się.

– Haha! Opłaciło się przesiadywanie w kuczej bibliotece! Dawać, mości panowie! Zobaczmy, co się stanie, jak nabijemy tym Paszczę Diabła! – rzekł Strezing, kierując się w stronę kolubryny.

W tym samym czasie przyszła kolej Fryterskiego na marudzenie.

– Durny piroman się znalazł, tfu... co tak stoicie, bałwany! Kopać nowy tunel, musimy zdążyć, nim ten baran wystrzela wszystkich z tej swojej wiwatówki!

Tym razem damy więcej prochu! Tak ze sto dwadzieścia procent więcej!

Dark Sword ciął mieczem jakiegoś czerwonoarmistę, na tyle głupiego, by zbliżyć się zanadto do kapitana. Zanurkował, unikając kolejnego ciosu, po czym pchnął kolejnego przeciwnika w pierś. Odwrócił się, by zobaczyć chmurę changelingów, lecących prosto na jego oddział.

Już miał wydać nowe rozkazy, kiedy z góry na lotników Chrysalis spadł oddział lansjerów, zmuszając rój insektów do rozproszenia się.

– Dzięki! – powiedział, kiedy podleciał do niego Stormcloud.

– Zawsze do usług. Jak myślisz, długo jeszcze to potrwa?

– Głupie pytanie. – Dowódca Gwardii Nocy wskazał kopytem na ciągnące się szeregi wroga. – Mamy dość pracy na kilka miesięcy.

– W tym tempie naziemcy nie utrzymają się długo – zauważył lansjer.

– Ale co zrobisz? Już i tak robimy, co możemy, by utrzymać tych przeklętych Sztormowników z dala od sił lądowych.

– Stojąc tutaj i rozmawiając, wielu nie zatrzymamy.

– Masz rację. Powinniśmy... – Oba pegazy zamilkły, kiedy do ich uszu dobiegło charakterystyczne wycie. Rozejrzeli się, szukając przeciwnika, ale zobaczyli tylko zbliżającego się do nich kuca w barwach Grupy Armii Stalliongrad, uzbrojonego w najwyraźniej zdobyczny sprzęt.

– Sir, Pierwszy Batalion Bombowy Cloudsdale melduje gotowość do akcji!
– powiedział przybysz.

– Oho, Red Coat, ten stary pryk, zaadaptował komunistyczny wynalazek?
– zainteresował się Dark Sword. – Wykazał postawę niegodną wiernego lorda na

służbie księżniczek.

– Czego wam trzeba? – spytał drugi oficer.

– Chcemy zbombardować wroga piechotę, ale osłania nas tylko oddział pani kapitan Spitfire, a to za mało, by się przebić przez wrogich lotników. Potrzebujemy każdego wolnego kuca, by zrobić odpowiedni wyłom!

– Doskonale. Stormcloud, moi gwardziści są zaraz za tobą. Dopilnujemy, by wróg nie zatkał luki, którą zrobią twoi lansjerzy.

Trzy pegazy powróciły szybko do swoich oddziałów. Po chwili kilkaset kuców z okrzykiem zanurkowało na wroga, rozpraszając czerwonoarmistów. Za nimi z ogłuszającym wyciem podążyli lojalistyczni Sztormownicy, zrzucając bomby na bataliony greenwingowych piechurów, wywołując przy tym panikę w szeregach przeciwnika. Kilku podoficerów, sądząc, że atakują ich sprzymierzeni lotnicy, postanowili odplacić czerwonoarmistom pięknym za nadobne. Minęło kilka chwil, nim wrogi dowódca zaprowadził tam porządek, dzięki czemu napór zbuntowanych wojsk nieco zelżał.

Święciński jechał konno za linią swoich sojuszników, prowadząc ze sobą swoich dragonów i przydzielonych mu arkebuzerów. Miał proste zadanie – być wszędzie tam, gdzie obrońcy mogli się załamać, by móc wzmocnić tamtejszą obronę. Od czasu do czasu któryś z jego podwładnych oddawał salwę w kierunku zabłąkanego pegaza lub changelinga, trzymając tym samym wrogich lotników na dystans.

Namiestnik dragonów podjechał do walczących czworoboków piechoty niemieckiej. Szybko wypatrzył Zritza, komendami i przekleństwami zachęcającego swoich pikinierów do dalszej walki. Za jego plecami strzelcy prowadzili ostrzał, starając się wycelować tak, by kule przelatwały nad głowami pierwszych szeregów.

Święciński podjechał do pułkownika piechoty, uważając przy tym, by nie

znaleźć się na niewłaściwym końcu czyjegoś muszkietu.

– Co tam, panie oberszter, w polityce? Niemcy trzymają się mocno? – powiedział na tyle głośno, by dało się go słyszeć mimo krzyków żołnierzy.

– U nas jest *sehr gut*, ale boję się, że piechota autoramentu narodowego ze skrzydeł może nie wytrzymać. Jedź pan tam i dopilnuj, by nikt się nie cofnął.

Święciński ruszył, by po chwili znaleźć się przy odzianych w niebieskie stroje żołnierzach piechoty polskiej. Szybki rzut oka wystarczył mu do oceny sytuacji. Hajducy dwoili się i troili, by powstrzymać napór kuczej armii, ale powoli ustępowali pola w obliczu przytłaczającej przewagi przeciwnika.

– Dragonia, z koni! Liszech, jedź i sprawdź, jak się sprawy mają po tamtej stronie Zritza – namiestnik krzyknął szybko do dowódcy arkebuzerii. Upewniwszy się, że jeźdźcy pojechali w odpowiednią stronę, ruszył pośpiesznie w kierunku pierwszej linii. Po drodze dostrzegł oficera, który natychmiast złożył mu meldunek.

– Panie rotmistrzu, dzięki Bogu, długo się tu nie utrzymamy. Jakie są rozkazy?

– Tylko jeden, mości Stolarczyku. Ani kroku wstecz! – krzyknął Święciński, kierując swoich ludzi na pozycje. Po chwili dotarł na miejsce, w samą porę, by zobaczyć, jak sfora diamentowych psów powoli wspina się na szanice, rąbiąc toporami słabnących piechurów.

Nie namyślając się wiele, nakazał otwarcie ognia. Huknęły muszkiety, i okopy spowił biały dym. Dała się słyszeć komenda „naprzód!”, po chwili zagłuszona przez krzyki i szczęk oręża. Kiedy opadła zasłona dymna, okazało się, że szanice zostały chwilowo odbite. Hajducy rzucili się, by wzmocnić obronę, wiwatując przy tym na cześć dragonów.

Mimo świetnego wyszkolenia i żelaznej dyscypliny szeregowych żołnierzy,

wspartej odwagą i pomysłowością dowódców, obrona zaczęła się powoli załamywać. Spodzielając się rychłego zwycięstwa, wrogi generał rzucił do ataku niemal wszystkie swoje oddziały. Nie licząc się ze stratami, powstańcy krok po kroku parli naprzód, spychając sprzymierzone wojska Equestrii i Rzeczypospolitej oraz zajmując kolejne szanse.

– Hej, ty! – Zientarski odwrócił się w kierunku źródła hałasu, by zobaczyć idącego w jego stronę dowódcę Gwardii Słońca. Jego biała niegdyś sierść lepła się od krwi, na szczęście cudzej. – Przysłałbyś jakieś rezerwy. Moje wojska trzymają się na resztkach sił.

– Nie mam rezerw. Moi ludzie sami się wkrótce załamią. Dawidowski i Dzikowski robią wszystko, by osłabić natarcie wroga, ale widzisz waść, co się dzieje.

– Czyli to koniec?

– Najwyraźniej. Nie ma już czym dowodzić, każdy robi, co mu się żywnie podoba. Jadę do swoich Wołochów, jak umierać, to wśród swoich.

– Słuszna uwaga. Miło było cię poznać – powiedział ze smutnym uśmiechem kuc, odracając się w stronę swojego oddziału.

– I wzajemnie. – Zientarski również uśmiechnął się, wyciągając w stronę kapitana Gwardii dłoń. Ten odwzajemnił gest. W tej samej sekundzie spadły na nich pierwsze krople deszczu.

Powoli każdy z oficerów oddalił się, by dołączyć do toczącej się wokół bitwy.

Canterlot

Luna podeszła szybkim krokiem do głównych drzwi do sali tronowej. Zanim je otworzyła, odwróciła się, by spojrzeć na zebranych. Rzędowiecki, Broniewski, powierniczki i Lyra wpatrywali się w nią, otoczeni przez gwardzystów księcia. Nieco dalej Wąsacz nabijał tytoniem swoją fajkę, oglądając przy tym w zamyśleniu witraże.

– Na co czekasz? Otwieraj! – rzekł po chwili zniecierpliwiony Michał.

– Nie wiem, co jest za tymi drzwiami, ale cokolwiek tam znajdziemy, nie dajcie się zabić.

– Wiemy! Otwieraj! – ponaglił ją ksiądz. – My też się o siebie martwimy, ale z bożą pomocą nic nam się nie stanie.

– Open the door! Open the door! – skandowała Pinkie, machając wyciągniętym nie wiadomo skąd transparentem, całkiem już psując podniosły nastrój.

Luna westchnęła, po czym za pomocą magii otworzyła wrota. Te rozsunęły się cicho, ukazując zebranym długi korytarz, wyłożony czerwonym dywanem.

Dwóch białych strażników popatrzyło na nią z widocznym na twarzach zaskoczeniu.

– Żołnierze! Gdzie moja siostra? – spytał alicorn.

– Nie wiemy, pani. Źle się czuła, więc ksiązę Blueblood ją gdzieś zabrał – odpowiedział jeden z nich, wytrzeszczając oczy na zebranych za plecami kłaczy ludzi.

– No pięknie. Czyli ostrzeżenie nie dotarło na czas. Za mną, do komnat zdrajcy! Musimy zdążyć, nim będzie za późno! – Luna ruszyła powoli, upewniając się, że reszta idzie za nią. Jako ostatnia z sali tronowej wyskoczyła Pinkie, podchodząc do wciąż zaskoczonych strażników.

– Cześć! Jak leci! I tobie też cześć! A nie, głupiutka ja, przecież już się dziś

widzieliśmy w obozie – powiedziała, rechocząc przy tym uroczo. Rainbow Dash zaczęła ją ciągnąć za ogon.

– Pinkie, nie mamy na to... zaraz, że co?

– A tak! Skaczę sobie po obozie, wążając kwiatki i poznając nowych przyjaciół, kiedy zobaczyłam, jak ten żołnierz rozmawia z kolegami! Więc podskoczyłam z radości, bo ich jeszcze nie znałam, a to fajne uczucie, jak poznaje się nowe kucyki! Albo ludzi, tak, jak dzisiaj, gdy nieco lepiej poznałam trzech braci...

– Jakim cudem może być w dwóch miejscach naraz? – Rzędowiecki zignorował monolog różowej klaczy. Spojrzeli na siebie z Broniewskim.

– Giedajłowowie – zawyrokowali jednocześnie.

– Albo to, albo... – powiedziała Luna, wyjmując z pochwy szablę. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, wprawnym ruchem posłała broń w kierunku gwardzisty, przebijając mu klatkę piersiową. Na jego pysku pojawił się wyraz wielkiego zaskoczenia.

Sekundę później fizjonomia kuca zaczęła się zmieniać. Sierść pokryła się ciemną chityną, na czole pojawił się róg, zaś u boków owadzie skrzydła. Zielona krew pociekła po ostrzu, kapiąc powoli na podłogę.

– Dobry cios. Znać rękę... znaczy róg mistrzyni – pochwalił ją Michał.

– Znać dobrego nauczyciela – odparła.

– Co to za diabelska sztuczka? – spytał ktoś.

– To changeling, one są zmiennokształtne – wyjaśniła Twilight, ze zgrozą obserwując, jak trup bezwładnie upada na podłogę.

– Alarm! – krzyknął drugi strażnik, pośpiesznie zmieniając swój wygląd. – Wróg u bram!

Kilku ludzi natychmiast rozsiekało changelinga szablami, było już jednak za późno. W całym zamku dało się słyszeć wycie syren, ostrzegających przed intruzami. Odgłos chitynowych odnóży dobiegł z głębi korytarza.

– To będzie trudniejsze, niż myślałem – powiedział Michał, sprawdzając, czy pistolet jest aby na pewno nabit.

– Szybko, za mną! Znam skrót! – krzyknęła Twilight.

– Skróty zwykle znacznie wydłużają drogę – zauważyła Applejack.

– E, ja tam nie narzekam – powiedział Rzędowiecki, po czym pognął za fioletową klaczą.

Po jakimś czasie, wypełnionym ciągłym bieganiem i walką z changelingami, cała grupa wypadła zza zakrętu. Natknęli się na kilku owadzich strażników, których natychmiast zasiekano szablami. Luna odwróciła się, nasłuchując odgłosów szybko zbliżającego się pościgu.

– Jesteśmy na miejscu, ale potrzebujemy trochę czasu – powiedziała.

– Nie ma problemu. Wąsacz! Zostań z gwardzistami, macie tu stać i się bronić.

– Tak jest, mości książę – odparł flegmatycznie. Luna popatrzyła na niego, zaskoczona.

– To on umie mówić? Zresztą, nieważne. Wchodzimy.

Powoli otworzyła drzwi, po czym weszła do komnaty Blueblooda, trzymając przed sobą szablę. Szybko przeszukała pomieszczenie pod kątem obecności śladów magii. Po krótkiej chwili znalazła niewielki portal, przemyślnie ukryty w szafie z ubraniami.

– Michał, Broniewski, zostańcie tutaj i pomóżcie swoim ludziom. Lyra, schowaj się gdzieś. My pójdziemy dalej – powiedziała Luna.

– Księżniczko, jak myślisz, co tam znajdziemy?

– Przekonajmy się – odparł alicorn, po czym wskoczył w portal.